Złote Gody WAT

46 lat żeglarstwa

prof. dr hab. inż. Wojciech Oszywa

Jak ten czas leci. Wydaje mi się, że to wczoraj pierwszy raz wsiadłem na żaglówkę, a było to już 46 lat temu...

Zaczęło się tak. Jest rok 1954, jestem już 3 lata w WAT w charakterze "belfra" akademickiego jako oficer przymusowo wcielony do wojska w 1950 r. Tak się złożyło, że w ówczesnym Fakultecie Łączności było kilku zapalonych żeglarzy ze stopniami sterników: kol. kol. Ryszard Foterek, Zdzisław Litwiński, Maciej Słojewski, czynnie uprawiających żeglarstwo w klubie sportowym WKS Legia. Jest czerwiec, zaproponowano mi udział w regatach Góra Kalwaria - Warszawa na łodzi klasy E, którą prowadził kolega R. Foterek. I tu złapałem "bakcyla", tak silnego, że obecnie mimo "wieku seniora" (dość zaawansowanego) i trochę "strzykania w kościach" nie mogę sobie wyobrazić lata bez Wielkich Jezior Mazurskich, przemieszczanych na żaglach.



"Mazury" zaczęły się już od 1954 r. W tym roku zdobyłem stopień sternika III klasy ("dawniej" były stopnie: żeglarz, sternik III klasy, sternik II klasy, sternik I klasy i kapitan). Pierwsze Mazury - spanie w łódkach, jeden koc na podłodze, drugi na przykrycie, a pod głową żagle. A gotowanie - oczywiście tylko ognisko i jeden garnek pięciolitrowy, wiszący na patyku. I od razu najważniejsze doświadczenie - garnek był bez pokrywki. Na powietrzu trzeba było długo czekać na zagotowanie. Odtąd zawsze przypominaliśmy sobie: "a pokrywka jest?" A później, aż dotąd, kilkadziesiąt letnich wakacji spędziłem na Mazurach. Od tych prymitywnych warunków i czerpania wody do gotowania z jezior, aż do łodzi kabinowych z kuchenką gazową, śpiworem, materacami itp. Bywało różnie: piękna upalna pogoda i całe 2 tygodnie "lania". Całe 2 tygodnie ciszy i całe 2 tygodnie sztormowej pogody. Pływanie spokojne i walka o życie na "burzliwym morzu mazurskim" - Śniardwach.

Żywe, jakby dziś ...

Jest druga połowa lat 50., pływamy w dwie łodzie (H-tki). Całe 2 tygodnie "lania". Zmoczeni, zziębnięci dobijamy na Bełdanach do brzegu I usiłujemy coś ugotować na ognisku z mokrym drzewem, na mokrym podłożu - jednym słowem koszmar. Miecio Jarczyński, "specjalista" od ogniska, miał zawsze w pogotowiu naftę do podlania. Smażymy konserwy na patelni i ogień jakoś nie pali się . Miecio podlewa naftą, wszystko dobrze, tylko konserwy po zjedzeniu dziwnie odbijały się produktami CPN. Ale zjedliśmy - co było robić?

Inna przygoda - bardziej niebezpieczna. Jest 18[00], pływamy na H-tce w cztery osoby, trzy obeznane z łodzią, a czwarta początkująca. Płyniemy z jeziora Mikołajewskiego w kierunku Okartowa. Cel - urokliwe jezioro Tyrkło. Płyniemy pełnym wiatrem. Byłem sternikiem na tej łodzi. Wydawało się, że pogoda jest znośna. Zaproponowałem każdemu sterowanie na zmianę, co pół godziny. Wszystko byłoby dobrze, ale to Śniardwy i w pobliżu Okartowa fale takie, jak na morzu. Przy sterze był ten czwarty nowicjusz. "Zejście" łódki z fali, duży przechył i widzę wał wody wdzierający się do łodzi. Kopnięcie przeze mnie steru wyprostowało łódkę, prawie już "łódź podwodną". Miałem nauczkę, że "nowicjusza" trzeba dokładnie pilnować. Wywrotka na Śniardwach w późnych godzinach, bez możliwości pomocy (w tych latach pływało bardzo mało łodzi), to możliwość tragicznego końca. Życie uczy!



dokończenie str.15

46 lat żeglarstwa

dokończenie ze strony 20

Były i pływania na morzu. W 1964 kurs na sternika morskiego. Późniejsze pływania stażowe na Opalu i Farureju. Ze wspomnień z tego okresu żeglarstwa, to satysfakcja „świeżo upieczonego wilka morskiego" jako nawigatora. Prowadziłem nawigację jachtu Opal, gdy wyszliśmy z Gdyni na nocne pływanie w głąb Bałtyku. Wieczorem wiatr wiał 4-5 w skali Beauforta. Miałem za zadanie tak obliczyć kurs i czas płynięcia w kierunku na Bornholm i z powrotem, aby w odpowiednim momencie zawrócić i znaleźć się rano, około godziny 6, na cyplu Płw. Hel. Żmudne to były obliczenia, prędkość jachtu, dryfu i ... jaka była moja radość, gdy rano zauważyłem cypel Helu. Jak na nowicjusza, była to dla mnie bardzo duża satysfakcja. Niestety, morskich stopni żeglarskich nie zdobyłem, przeszkodziła mi w tym długotrwała choroba. Później do tego nie wróciłem, przedkładając piękno jezior i urocze lasy nad rozhukany żywioł morski.



Sekcja w WAT

Od początku mojego żeglarstwa należeliśmy do klubu WKS Legia. Ale było już nas na tyle dużo w WAT, że chcieliśmy w jakiś sposób usamodzielnić się. Okoliczność sprzyjająca zdarzyła się - gdy przewodniczącym PTTK w WAT w początku lat 60. został kolega Jerzy Czeszko, znany wszystkim zapalony wodniak i działacz na tym polu.

Zainicjowaliśmy powstanie sekcji żeglarskiej. Koledzy wybrali mnie przewodniczącym tej sekcji. Pamiętam starania o pierwszy własny sprzęt żeglarski. Otrzymałem wtedy na ten cel około 10 000 zł. Pojechałem do szkutnika, gdzieś w okolicach jeziorka Czerniakowskiego (dokładnie nie pamiętam) i za te pieniądze zamówiłem dla sekcji dwie omegi, które miały potem numery 211 i 212. Mieliśmy wreszcie własne łodzie. Jedna była pod opieką kolegów z Wydziału Mechanicznego, druga z wydziału Elektroradiotechnicznego (dzisiejszy Elektroniki). W tych wydziałach było najwięcej czynnych żeglarzy. Łodzie te nadal przebywały na terenie Legii na Wale Miedzeszyńskim. Wszyscy członkowie sekcji żeglarskiej PTTK byli jednocześnie członkami WKS Legia. Ułatwiało to transport naszych łodzi na Mazury wagonami kolejowymi, finansowany przez wojsko. Remont tych łodzi tak, jak i wszystkich w tym okresie, to osobna coroczna „gehenna" na wiosnę. Konstrukcja drewniana tzw.: „słomka", cienkie listwy, między którymi były szpary. Utykanie tych szpar to swoisty „kunszt". Każdy z żeglarzy miał na to „swój patent". Najlepszy sposób to oblepianie sznurka konopnego szpachlówką przygotowaną samemu z pokostu i mielonej kredy i upychanie takiego sznurka między szpary. Po zaschnięciu (około paru dni) szlifowanie papierem ściernym i malowanie kadłuba wodoodpornym lakierem bezbarwnym. Jakże prosty i mniej pracochłonny jest remont dzisiejszych łodzi plastykowych ...

Te dwie łodzie - omega 211 i 212 - były przydzielane na rejsy mazurskie tylko członkom sekcji żeglarskiej, którzy brali udział w remontach łodzi. Prowadziłem odpowiedni rejestr corocznego przydziału.

Początki ośrodka

Wszystko się uprościło z chwilą powstania Zalewu Zegrzyńskiego i potem ośrodka watowskiego. Ówczesny komendant WAT, gen. prof. Sylwester Kaliski, był zapalonym żeglarzem. Znaliśmy się jeszcze z okresu studiów na Politechnice Gdańskiej. Stąd dość bliski kontakt i w sprawach żeglarskich.

Kiedyś, w drugiej połowie lat 60. zwrócił się do kol. Czeszki i do mnie, abyśmy znaleźli teren dla lokalizacji ośrodka. Przydzielił nam samochód służbowy i w dwójkę objeżdżaliśmy brzegi zalewu. Nic z tego nie wyszło, bo było już za późno. Ale pewnej niedzieli, gdy odpoczywałem z rodziną nad zalewem od strony Szkoły Oficerskiej, gen. Kaliski spotkał mnie i zaprowadził na teren dzisiejszego ośrodka. Pytał: „co o tym myślisz?"

Snuliśmy plany: tam będą domki, tu będzie garaż, tam port itp. WAT doszedł do porozumienia ze szkołą i mamy dzisiaj bardzo dobrą przystań, trochę już leciwą (ma przeszło 30 lat), ale świetnie spełniającą swoje zadanie. W 1970 r. powstał Klub Żeglarski WAT. Sekcja żeglarska PTTK przestała istnieć. Ja, jako jeden z członków założycieli tego klubu, jestem jemu wierny aż do dzisiaj ...

A jednak Mazury

Żeglarstwo teraźniejsze na jeziorach wygląda inaczej niż 40 lat temu. Łódki kabinowe, kuchenki gazowe, telefon komórkowy. Gdzie to gotowanie na ognisku, podlanym naftą? Miało to swój urok.



Jestem bosmanem lodzi o przyjemnej nazwie „Promyk", wymyślonej przez moją córkę Bożenę. Jeżdżę co roku na Mazury. Mówimy sobie z żoną „może to ostatni raz?" Jeszcze nie ostatni i mam cichą nadzieję, że będzie jeszcze kilka, a maże kilkanaście? (Przyjemnie pomarzyć). Cała moja rodzina jest żeglarska. Wnuczka miała 1,5 roku, jak po raz pierwszy popłynęła z nami na Mazury. Ma obecnie 15 lat i była 14 razy na Mazurach. Nie tylko moją rodzinę nauczyłem żeglarstwa. W latach 70. trochę zajmowałem się instruktorstwem (choć stopnia instruktora nie posiadam). W Augustowie, na wczasach prowadziłem kurs na żeglarza dla starszych dzieci.

Stwierdzam, że żeglarstwo, oprócz zaspokajania mojego hobby, dało mi świetny relaks w tak wyczerpującej i nieraz bardzo stresowej pracy na różnych kierowniczych stanowiskach w dydaktyce i nauce w wojsku.